

## KONCHA

SZLIŚMY. Noc była cudowna. Księżyc świecił, a ziemia parowała tajemnym swym czarem. Spocona po deszczu, jak rozgrzane ciało, zdawała się obdarowywać nas olbrzymią mocą. Opar się unosił mleczny, gęsty i stopy spowijał. Szliśmy. Parnota i wilgoć wiszące w powietrzu tamowały oddech, więc dyszeliśmy ja i ona, wciągając chciwie w płuca aromaty ziemi. Powietrze rześkie roznosiło pyłki zarodników, gęste od przepychu zapachów i smaków, wdzierало się głęboko w nozdrza, jakby tylko po to, by sobą tumanic. Toteż tuman w głowie sam się robił, kłęb dziwny i zatykało nas, choć przecież rześkość jakaś i świeżość wdzierала się tędy owędy, szczelinami wszelkimi, podrywając do góry i sycąc młodością. Gdzieniedzie lśniły świeże lustra kałuż, chodnik był zielony i śliski, parował zmysłowo – była w tym wszystkim czystość, świat świeżo po ablucji miał wdzięk noworodka, wszystko było nowe, jeszcze nieskalane i arcyniewinne.

– Czy ty lubisz pieski? – spytała nagle ona niby z głupia frant, spoglądając mi w oczy, a przecież z mocą i tak zachłannie, jakby za chwilę miał zapaść jakiś arcyważny wyrok.

– Pieski?! Czemu pieski? Czemu nie?! Oczywiście! Lubię! – powiedziałem, krztusząc się od nadmiaru nocy, w której nagle wyskoczyły pieski jak królik z kapelusza; czyżby ona uwikłana w coś chciała i mnie w to uwikłać, ale w co i po co? – zachodziłem w głowę.

– To dobrze – odrzekła z tak widoczną ulgą, jakby właśnie ocalała cały ten gatunek od niechybnej zagłady.

– Czemu akurat pieski? – zapytałem nieśmiało.

– Bo są wierne i tęsknią – powiedziała cicho.

– Ja też jestem wierny – odparłem głupio i stanowczo za głośno.

– To dobrze – wyszeptwała. Szliśmy. Było dosyć głucho, lecz nad wyraz widno, bo księżyc właśnie dziś był w pełni.

– Choć... lubię też motylki – zagaiła ponownie. Coś się tu kroilo, coś się szykowało, czułem to niewątpliwie.

– Motylki? – zapytałem nieśmiało.

– Tak, motylki, są takie głupiutkie – zaśmiała się lekko. – Ale za to piękne i pięknie się nazywają, po angielsku motyl to butterfly – powiedziała. I na to odezwała się mucha. Skąd tu nagle mucha jakaś?! Nie wiadomo! Jednak poczęła bzyzczyć i przedrzeźniać – czegoś tak bezczelnego w życiu nie słyszałem. Machnąłem raz, drugi, odleciała, lecz został jakiś absurd muchy, jakiś cień przekory, durny, butny, pozostał dość wyraźny, by rozmowa się urwała. Szliśmy. Ziemia parowała.

– Więc cóż, spacer jak wczoraj, pamiętasz? – zapytała zniecka. I ta mucha niczym pastisz. Wczoraj był motylek. Jak to trzeba uważać. W każdym słowie czaiło się słowo mniejsze, które było kontrslowem, a byt mniejszy bywa często kontrbytem dla bytu większego – ta mucha była niczym innym, jak kpina rozjechanych proporcji – była kontrmotylem.

– Tak, zupełnie jak wczoraj – odparłem po chwili, chociaż było przecież zupełnie na opak. – Tylko, przyroda dzisiaj taka inna, czysta! – kontynuowałem, by ją sprowokować.

– Tak, czysta! – powiedziała. – Całkiem idealna – powiedziała znowu, kiedy nagle coś chrupnęło. Chrupnęło nieznacznie, ledwo dosłyszalnie, więc szliśmy dalej. Jak gdyby nigdy nic, a przecie chrupnęło i znowu mucha mi się przypomniała i pieski, cała ta przyroda poczyną napierać, trzeba było coś zrobić, by ją sobą odeprzeć. I czułem, że nie mogę, że w głowie mam tuman. Kiedy ona niespodziewanie poczęła śpiewać sobie cichutko pod nosem:

– Cztery słonie, zielone słonie, każdy kokardkę ma na ogonie. – Chrup! – Ten kudłaty, ten łaciaty. – Chrup!

– Kochają się jak wariaty!

O! jak to słodko, jak niewinnie o słoniach sobie śpiewa! – pomyślałem do cna rozrzewniony.

– Kiedy dziś cię słucham, to widzę, że cały świat kochasz i w tobie jest miłość do wszystkich, do wszystkiego, pełna akceptacja i aż dziwić się muszę, jak takie małe serduszek jest w stanie wszystko – całą tę wielką miłość – w sobie pomieścić i wszystko tak kochać – mówiłem, patrząc jej w oczy głęboko.

– O, co to?! Co tak pięknie pachnie? – zapytała jak gdybym nic właściwie nie mówił.

– To...? Bez – odpowiedziałem bez krzty animuszu.

– Wiedziałam, po prostu wiedziałam: bez poznam chyba na kilometr. Urwij mi, proszę – poprosiła, spuszczaając oczy, jak gdyby obnażyła się z czegoś na wskroś wstydliwego.

Urwałem kwiat dorodny, który z racji ciężaru swego zwisał bardzo nisko, jakby wręcz się prosząc o rychłe zerwanie. Szliśmy! Kwitł bez i bez tego było nam majowo, lecz kwitł i pachniał tak zapierająco, iż bez niego maj nie byłby zdolny do tych setnych zjednoczeń, nagłych uniesień serca i erupcji euforii istnienia. Kwiat jego przywabiał owady, mącił w głowie – toteż było mi miło, błogo z nią obok, opartą na moim ramieniu i w kwiat ten wwąchaną. A on mamił, tumanił i zapach roztaczał. Jakaś straszna bezsilność obezwładniała nas, ciemna i bezbrzeżna (wobec bzu jest się bowiem zawsze bezsilnym i obezwładnionym). Czułem, że nie zdołam się oprzeć i ulegnę pod ciężarem naporu sił wszelkich natury, które wyzierały z każdego listeczka i czaiły się w jej kwiciastej sukience. Miałem przedziwne wrażenie, że wszystko przeciw mnie się jednoczy – mnie, próbującemu istnieć na przekór naturze – wypowiada wojnę. Ja, kontra – bezmiar życia – pomyślałem – beznadziejna sprawa. Szliśmy i kiedy tak szliśmy, rozległ się trzask suchy, zakończony młażnięciem. Jakaś nieprzyzwoitość nagle wdarła się do ucha, wyzwoliła spod stopy czyjejs. Jej? Mojej? Nie! Jednak jej! Moje stopy były czyste i niezamieszane w ten akustyczny artefakt, który wprowadził nagłą dwoistość przeciwstawną, niemożliwą, a jednak właśnie zaistniałą – sprzeczność wszystkiego ze wszystkim. Nie, to musiał być głupi wybryk percepcji, po prostu przypadek: ot, nadepnęła na coś, co się dziwnie rozprysło. Ta ambiwalencja zrodziła się we mnie. Szliśmy dalej, aż wreszcie doszliśmy do rogu ulicy. Ja już uspokojony, na powrót osadzony w sobie, ustą-

piłem jej miejsca – chodnik nagle się zwiężał i zakręcał w prawo kątem prostym, łamiąc tutaj bezlitośnie przestrzeń. Róg budynku groźnie się przybliżał, stroszył, niby chcąc nas ugodzić, ogniskował na sobie całą naszą uwagę. Dreszcz, nie dreszcz – to dziwne – jakiś spazm nagły mnie przebiegł i na chwili ułamek poczułem się jak matador (swoją drogą, to straszne, jak czasem człowiekowi niewiele trzeba, by coś w sobie zrodzić) i właśnie wtedy, gdy się wydawało, iż uda się go z łatwością wyminąć – wychynęła zza winkła całkiem niespodzianie karkołomna postać, przedziwna istota na szeroko rozstawionych nogach – kolebiąca się z boku na bok kobieta kaleka! Okropna pokraka! Och, to było zbyt nagle, nazbyt obcesowe, by się frontem ustawić, trzasnęło nas po oczach i od razu wdarło się do środka. Byliśmy bezbronni, wystawieni na ten widok jak na egzekucję – kobieta z krótszą nogą, strasznie wykręconą, druga noga zaś zdawała się nazbyt niepozorna, przez to nieistotna i o wiele za krótka. Makabryczny żart morfologii, pokraczny i egzotyczny do n-tej potęgi, wymykał się wszelkim tanim chwytem umysłu, by go opanować, a percepcja stawała dęba, nijak nie mogąc się doń odnieść i zracjonalizować – toteż nic dziwnego, iż jakby mnie kto trzasnął, nagle w sobie się skuliłem, myśląc: „A więc to tak! A więc to możliwe. Więc wszystko, absolutnie już wszystko z człowiekiem jest możliwe, skoro to możliwe!” – kolebało się rozpaczliwe echo myśli tej we mnie. Potencjalna bezbrzeżność wszystkiego, wszelkich form i kształtów ludzkiego nieszczęścia, rozlała się we mnie nagłą falą rozpaczy. Jakże nieznośną stała się właśnie uświadomiona totipotencjalność ciała – zdolnego do wszelkich, nawet tych najgłębszych z głupich figli i wybryków. Nic już nie było pewne ani niewzruszone, żadne granice odtąd nie istniały, a wszelkie proporcje zdawały się być jedynie pretensjonalną i naiwną kpiną. Skoro to coś istniało, skoro człowiek musi znosić, a właściwie nosić, rozpasanie morfotyczne natury, które nie zna miary, to czyż nie jest to nieznośne?! Podniosłem głowę, by sprawdzić, czy i ona ból mój i piekielną mękę konstatacji owej solidarnie podziela – musiała być przecie, jak ja, poruszona tym zderzeniem nagłym z kompletnym absurdem, wariacją na temat ciała i dolnej kończyny! Lecz co to? Och! Ach! O rety! Niemożliwe! – Struchlałem! Musiałem sfiksować

albo coś przeoczyć. Wyteżyłem wzrok najbardziej jak mogłem, jak tylko się dało. Mrok rozświetlały latarnie, o tej porze dające światło mdłe, białe – jednak ponad wszelką wątpliwość, nie mogło być mowy o żadnej pomyłce, jakkolwiek omam wzrokowy nie wchodził w rachubę. Kiedy na nią spojrzałem: pełgał tam leciutki uśmieszek! Choć przecież wszystko trwało niespełna jedną krótką chwilę – to był wykwit, źle ukryty grymas – to coś na jej twarzy! Zniknął, zgasł, nim się doculiłem – jednak dałbym się porąbać tu i teraz, miałem absolutną pewność: był – istniał poprzez krótki moment nader niewątpliwie. Nie, tego było stanowczo zbyt wiele! Ten koszmar był nazbyt idiotyczny, bym weń mógł ot, tak, *ad hoc*, bez oporu uwierzyć. Prawda, to nie był cały uśmiech, raczej cień uśmiechu, gdy znowu spojrzałem, nie zostało po nim nic, ni śladu – tym bardziej byłem pewien, że go zobaczyłem! Oddychałem ciężko – nagle się zmęczyłem sytuacją, która miażdżyła jak ołów. Dwie potworne chwile, z których sam nie wiem, która zdawała się gorszą, spadły na mnie niespodzianie, niepotrzebnie, nie teraz. Teraz, kiedy omal się nie uwzniośliłem nocą, jej gwiazdami, oparem, wiosną, mym wewnętrznym trylem – rzecz mnie całkiem przerosła, więc próbowałem gorączkowo ją zracjonalizować. Ubrać w sens jakiś, jeśli nie w sens, to przynajmniej w słowa – nagej prawdy nie sposób było tolerować. Myślałem, myślałem i z wolna docierało do mnie, że odpowiedź mogła być tylko jedna, jeśli w ogóle była. Rzecz cała zbyt była wyjątkową, by się dawała zrelatywizować. Za wszystko odpowiedzialną być musiała jakaś wyższa siła albo wyższa konieczność. To nie mogło być ot, takie sobie zwykle uśmiechanie. Ona zrobić to po prostu musiała! W tym była jakaś logika wewnętrzna. Cemu bowiem ona, młoda, urodziwa, uśmiecha się na widok ludzkiego potwora, nie potwora, ale jednak kaleki – ciała ciut rozklekotanego, kolebiącej pokraki, przecież lubi ptaszki, rybki i różne zwierzątka, lubi kwiatki, więc – jest współczująca! A jednak uśmiecha się, i to nieświadomie. Samo! Samo jej się uśmiecha. To jasne. To twarz jej się uśmiecha dobrze skrojonymi wargami, to ciało śmieje się na widok ciała ciut gorszego, to nienaganne proporcje śmieją się z dysonansu rozjechanych kształtów – to triumfuje porządek nad na śmiertelnym chaosem – nie ma w tym nic złego. To jest satysfakcja

– walka form i tkanek; to co śmiać jej się każe, to jest EWOLUCJA! Więc coś dziwnego, śmiać się już nie wolno – tym bardziej, że jej w tym nie ma, nie bierze udziału. Bo jeśli jest?!! Sza!! Niemożliwe! Absurd! Po prostu makabra! Miast poezji – herezja, zamiast czaru – makabra! Czyżby jednak świadomie, pod płaszczykiem kwiatków, ona tutaj jednak... rywalizowała. Bzdura! Ale ze mnie kanalia, jak mogłem tak w ogóle myśleć, lepiej przestać w ogóle – nie myśleć, żeby tylko nie myśleć. To pułapka przypadkowych faktów, które zbyt do siebie biorę, i to biorę na wyrost. Trzeba to przeskoczyć i nad tym wziąć górę.

– Kałuża!

– Co?! – ocknąłem się wyrwany słowem tym z letargu.

– Kałuża! Chciałabym ją przeskoczyć, ale... boję się, chyba że... podałyś mi rękę? – wdzięczyła się słodko, wyciągając delikatną rączkę.

– Rękę? – zapytałem zdjęty nagłą trwogą, jak gdyby chciała, żebym ją utopił, albo może zbadał.

– Tak, wtedy bym się nie bała – oho, czułem, jak zupełnie wbrew sobie wypinam pierś do przodu, a w dali słychać łopot skrzydeł anielskich i surmy bojowe.

I te ślimaki nagle, ślimaki miazdżone, nasunęły mi na myśl to wspomnienie konchy, które było we mnie takie rozdrzemane, podskórne, dotychczas uspięne. Ślimak, ślimacznicza, ślimaczyć, domek, muszla, koncha, małżowina uszna, ucho, chrup, chrupanie, noga, pieski, wiersz, melodia, rytm, poczęły mnie oplatać, plątać jakąś pajęczynę. Pająk jakiś, przędący ciekawą nić relacji, powiązań, przyczynowoskutkowych skojarzeń, implikacji, osnuwał mnie przędzą zaczepioną na kontrapunktach owych znaczeń, aluzji, symboli – motał wszystko w jeden kokon świata, ze mną uwikłanym w środku. Robiło mi się ciasno, duszno, i co dziwne, chciało mi się latać, fruwać, wzbijać, przesywając czas i przestrzeń, przenikać w zaświaty. Niczym kometa ruszająca w przestwór, stawałem się z nagłą wolny – Ja – Motyl Nabrzmiały, Wolny, Metafizyczny – coś za stan, jakaż zdolność – rozpierała mnie nagłą potencją. Chciało mi się bratać! Czy to ślimak sprawił? Zresztą ślimak czy nie ślimak był tego przyczyną, miałem oto nieustanne sąsiedztwo kolebiącej

się konchy, w rytm jej kroków, stąpięć, mordów na ślimakach, ja miałem tu, oto ten konkretny namacalny – jasno rysujący się w poświacie miesiąca. Labirynt świętych krzywizn ciała, wpukleń, elips i nagłych kolapsów, linii nigdy prostych, zakamarków pozbawionych światła. Tu, tu, tu, po trzykroć tu, czaił się mój Cosinus, mieszkał mój ideał! Więc wystarczyłoby palec wyprostować, rękę uprzednio nieco wyciągnawszy by... by jej dotknąć, może nawet by... by, by... wniknąć! Ech! Nie, zbyt daleko myśl moja pognała! Nie, tego mi nie wolno! Nazbyt obcesowo chciało mi się zbyt prosto do celu dobierać. Nie po to wszak natura zbudowała wyszukany labirynt, bym się jak barbarzyńca na wprost weń miał wdzierać. Tu inne jakieś wejście prowadzić musiało, inne przejście tam wiodło, to był tylko wymyślny FUTERAŁ. Ale zmysły, nieczułe na racje rozumu, wciąż ryły tunel swój sprytny, czyniąc w całym wym jestestwie ów wymyślny wyłom – kanał dopuszczenia – krecią swą robotę. I poczułem, że słabnę, że pokusa zbyt wielka – nie do wytrzymania – jęła mnie pożerać. Palec mój nerwowo kurczył się i prostował, prostował i kurczył. Jak generał salutujący wojsku – zastępom myśli niesubordynowanych. Tam wyżej, obok, kolebała się koncha (kole bała się) – Małżowina – Ślimak. Jakaś łatwość bezmierna przeniknęła mnie dreszczem i poczynała ogarniać nieznośna wprost lekkość istnienia. Szliśmy, spacer stawał się zwolna zaiste astralny. Niebo rozgwieżdżone świeciło nad nami tysiącem ciał niebieskich. Muzyka sfer odległych dostrajała się do nas, przenikając wszechświat całej harmonią, czułem, iż kosmos pożera nas i zdawało się prawie, że po gwiazdach stąpamy. Szliśmy Mleczną Drogą Naszą, palec kurczył się i prostował, i obok gdzieś czaiła się do skoku jakaś nieskończoność. Palec, Koncha, Ja, Ona – tu świat się miał narodzić, tu się czas zaczynał. Byłem gotów, kiedy znów zapytała:

– Podasz mi rękę?

– Oczywiście, proszę – odpowiedziałem, niczym automat zaprogramowany przez tysiące lat na tego typu okoliczność, podałem jej dłoń lewą, prawa była nieswoja.

– Skaczymy? – spytała podnieconym głosem, a lico oblewał jej kraśny rumieniec.

– Skaczemy! – odpowiedziałem bez chwili namysłu.

Och, skok, skok tu się szykowałeś, skok szalony i we mnie napięcie będące sprawiło, iż czułem się jak sprężyna nakręcona, gotowa do skoku. – Skaczemy? – powtórzyła. Wszystko gotowało się, było już usposobione w skok ten, do skoku tego gotowość najwyższa, czyniły mnie skocznym i wysokowym nad wyraz (palec wciąż kurczył się i prostował, kurczył i prostował) – toteż począłem mierzyć, przymierzać się do skoku tego, koncentrować, by nie chybić, nie daj Boże, albo, co gorsza, nie skapitulować. I kiedy – wszystko to działo się w ułamkach sekund, w okrucinach czasu znikomych, najkrótszych z możliwych dających oddzielić się myślą od siebie – w chwili tej ostatniej, gdy ręka ma wykonała nagły skok ku jej małżowinie, a palec mój pomknął niczym pocisk wprost w sam środek konchy – ona nagle... – skoczyła! Skoczyła rączo, rześko, lekko i niewinnie, tak właśnie jak skacze się przez kałuże w bezmiarze swej nieświadomości, w błogiej swej niewinności, nieświadomości niczego duszy naiwnej i czystej niczym deszcz majowy. Stałem z palcem wzniesionym ku gwiazdom w postawie napiętej, pochyłony do przodu, niczym łucznik, który śledzi lot dopiero wypuszczonej strzały. Ja wygięty, kałuża i ona roześmiana i rozluźniona po udanym skoku. Patrzyła na mnie ufnie pytająco. – O, widzisz, bo właśnie chciałem... – spójrz – pokazać pewną konstelację... eee – bredziłem coś, skrzętnie próbując ukryć sztuczność całą postawy i nie zdemaskować skoku swego spóźnionego ciut, bo nie w porę.

– Konstelacje!!! Pewnie nazywa się Ciapa. Albo lepiej: Konstelacja Ciapy. Ej, astronom, uważaj, bo zapatrzony w niebo, wdepniesz w coś mokrego! – zaśmiała się zadowolona z udanego dowcipu. – I astronom gapa, kiedy przed nim ciapa. – śmiała się już jawnie, zataczając lekko i trzymając prawą ręką za brzuszek.

– Tak, to ja ci pokażę, powiedziałem, udając lekkie rozdrażnienie. Jak się skacze, pokażę ci. Będzie to skok astralny – rozpędziłem się i... .

– Dobrze, trzeba się rozpędzić – zauważyła przytomnie.

Hop – udało się.

– O nie! Czemu postawiłeś tam nogę, zmoczyłeś ją całą?! – cedziła przez ściśnięte wargi z widocznym wyrzutem.



- Ślimak! – wyburczałem.
- Co?!! – spytała zdziwiona.
- Nie chciałem rozdeptać ślimaka – tłumaczyłem niemrawo.
- Aha! Wydawało mi się, że możesz skoczyć dalej, a ty, jakby ci się nie chciało, a to ja się bałam. Przepraszam, nie powinnam cię była namawiać. Teraz widzę, że to było głupie, daj, zdejmę ci buta. Trzeba wyjąć skarpetkę! – odzyskiwała z wolna rezon.
- Nieee! Nic mi się nie stało – broniłem się, ale jakoś tak bez przekonania.
- Ale tam, zmoczyłeś się. Jeszcze dostaniesz kataru – znów była czuła i troskliwa, miękko się uśmiechała.
- Ale ze mnie pokraka – mówiłem, gdy ona zdejmowała mi but i nie wiem czemu, strasznie piekły mnie uszy i wszystko mnie już bardzo dziwnie piekło. Piekło, piekło, piekło.
- Nie mów tak, to nieprawda – powiedziała twardo, wykręcając skarpetkę tak, iż i mnie skrzyło.
- Czemu? – rzuciłem buńczucznie.
- Bo to nie wypada. To bardzo nieładnie – mówiła, wkładając mi skarpetkę, czysta i naiwna.
- Eee tam! – powiedziałem i nagle splunąłem, choć przecie zupełnie nie chciałem – ja nigdy nie pluje, a tu teraz zniecka splunąłem. Nagle z trzaskiem,omalże ohydnie, ordynarnie splunąłem.
- Co cię nagle napadło? – rzuciła wzburzona.
- Mnie? Nic, ot, tak sobie dla zdrowia splunąłem – odrzekłem z obojętną miną.
- Plucie nie jest zdrowe – stwierdziła z przekonaniem, twardo i dobitnie.
- Nie wiadomo. Mnie się zawsze poprawia. Jak splunę, jestem zdrowszy – coś mnie roznosiło od środka, moc tajemna jakaś – jakaś nienazwana siła.
- Nie mów tak! Ja nie mogę tego słuchać! – powiedziała, zatykając uszy. – Jak możesz tak gadać. Plucie jest obrzydliwe, śliskie, a poza tym... nie wypada.
- A właśnie, że nieprawda – co mnie nagle napadło. – Bo to właśnie wypada, o stąd, stąd wypada!

– Dość już. Zbiera we mnie do ciebie jakieś obrzydzenie – powiedziała z niesmakiem.

– Ja tylko wyrzucam nadmiar – ależ byłem zimny i obojętny, nie muszę dodawać, iż normalnie to mi się nie zdarza.

– Przestań! Przestań, bo nie wytrzymam! – poczyniała tracić swą cierpliwość.

– Nadmiar! – rzuciłem lekko.

– Nnno nie, teraz to przesadziłeś. To już jest przesada. To chore. Co za dużo, to nie zdrowo. Nie mogę już dłużej, cześć. Pójdę już, już późno – wyraźnie była już zdesperowana, wysadzona z konia.

– Nadmiar wyrzucam. Ooo! – i splunąłem, znów splunąłem, nie do wiary, to prawda, ja plułem jak szewc, furman. Ja plułem jak wariat!

– Naprawdę przesadziłeś. Nie dzwoń do mnie, mam już tego dosyć – i zde gustowana odwróciła się na pięcie.

– Nadmiar! To poprawia zdrowie – wyrzucałem z siebie.

– A ja, ja myślałam, że ty jesteś... piękny, piękny i szlachetny – głos jej drżał. A ja znów splunąłem. – A ty jesteś, jesteś – kontynuowała całkiem już złamana, nie mogąc znaleźć słowa, grzebiąc końcem bucika w ziemi.

– Pokraka! – powiedziałem zimno i beznamyślnie uśmiechając się jej własnym uśmiechem. Podszedłem i... chrup! Na jej oczach rozdeptałem ślimaka.

– Nieee!!! – krzyknęła. – Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?! Cemu powiedziałeś, że pokraka?! Ja tak nie myślałam, tylko po co ty plujesz, po co mnie narażasz, i na dodatek, czemu rozdeptałeś tego biednego ślimaka? Do widzenia! Muszę iść, muszę to przemyśleć. Lepiej też idź do domu, bo się jeszcze przeziębisz – ruszyła i... chrup! – nadepnęła na mojego ślimaka. Oskoczyła niczym oparzona.

– Pokraka! – powiedziałem.

– Nieprawda! Ja nie chciałam! – krzyknęła i pomknęła biegiem.

Była już bowiem złączona ze mną wspólnym naszym ślimakiem. Uciekała, nie wiedząc, że nie można umknąć ode mnie i od siebie – od pokraki w sobie i wspólnego ślimaka, którego śmierć nas właśnie połączyła.